



**TEATR
POLSKI**

W WARSZAWIE

ZAŁOŻONY PRZEZ ARNOLDA SZYFMANA
1913

Scena Kameralna

Konstanty Ildefons Gałczyński

**ZIELONA
GĘŚ**

Konstanty Ildefons Gałczyński

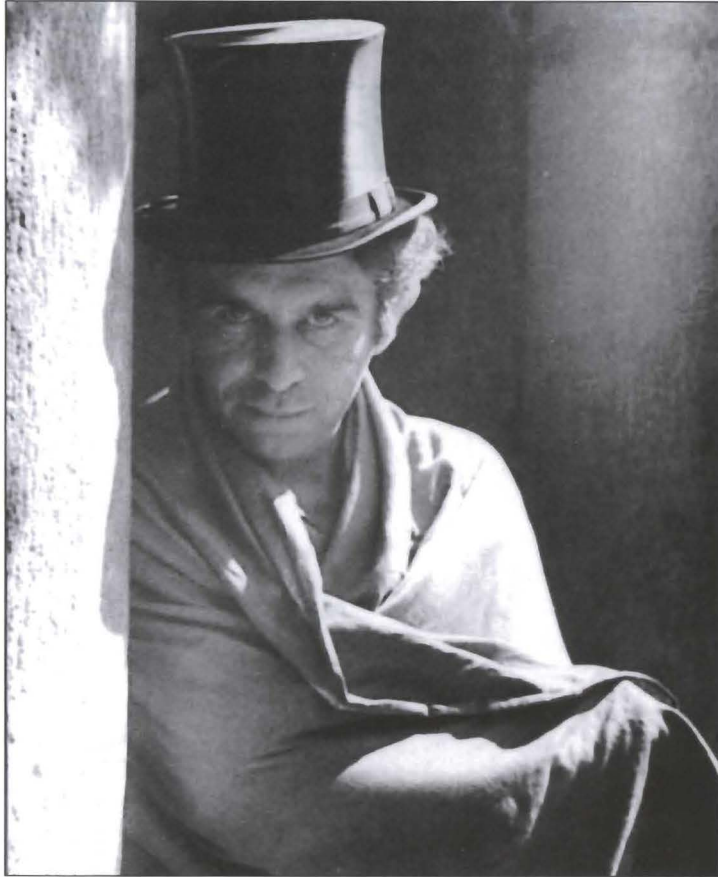
ZIELONA GĘŚ

Motto:

*Nie mam pieniędzy, ni realności,
Lecz to, co mam, to weź,
Ten podarunek prawdziwej miłości,
Moją nierealną gęś.*

K. I. Gałczyński





K. I. Gałczyński

Kira Gałczyńska

Liryka, liryka, tkliwa dynamika...

„Bardzo kocham ten mój teatrzyk, może mały, ale własny” – wyznał Konstanty Ildefons w jednym z listów gdzieś około roku 1949 do Mariana Eilego, który łamy wymyślonego przez siebie pisma otworzył szeroko przed powracającym z powojennej wędrówki poetą. Czy z tamtej ich pierwszej rozmowy, gdy K.I.G. powiedział, że będzie chciał zająć się znów teatrem (oczarowanie magią sceny datuje się z lat krótkiego, ale owocnego pobytu w Reducie Juliusza Osterwy, z pamiętanego do końca życia uczestnictwa w spektaklu *Mazepy* i z lekcji mistrza, że wiersza nie wolno deklamować) mógł znakomity Redaktor przewidzieć, co z tego wyniknie?!...

A od prapremiery w Najmniejszym Teatrze Świata w połowie 1946 roku, od pojawienia się *Potwornego wujaszka*, ze scenką tą były tylko kłopoty, obraza boska, szerokim strumieniem płynące pogrożki, protesty, anonimy od zgodnego tym razem chóru Polaków. Że szarganie świętości, dziwaczenie, całkowite oderwanie od realiów codzienności... Wszyscy się oburzali, ale wszyscy czytali. Sytuacja powtarzała się każdego tygodnia.(...) Kto to dzisiaj rozumie?...

Nawet drukarze składający historie o siedmiu braciach śpiących, żarłocznej Ewie, przygodzie Paderewskiego, Gzęgźółce w Sali Senatorskiej na Wawelu czy zwykłą odpowiedź na pytanie, jaka jest różnica pomiędzy topielcem a „Zieloną Gęsią” („Topielec najprzód się denerwuje, a potem jest zielony, a „Zielona Gęś” jest najprzód zielona, a potem denerwuje 800 000 czytelników”) uważali, że za drukiem tych cu-

dactw muszą kryć się jakieś matactwa. Przekonał ich dopiero *Dymiący piecyk*...

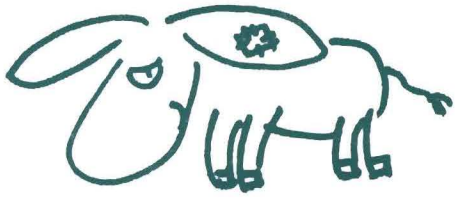
Gorzej rzecz się miała z kelnerami. Wielokrotnie w Najmniejszym Teatrze Świata pojawiali się przedstawiciele tego zacnego zawodu, nigdy jednak z nadmierną atencją. I oto w krakowskim barze „Pod Sokołem”, do którego poeta zaglądał, na rogu Wolskiej i Retoryka, jeden ze starszych kelnerów z urazą kiedyś zapytał:

– Dlaczego łaskawy pan wypisuje takie rzeczy? I jeszcze rękoczyzny na końcu... Zamiast ładnych wierszyków pisze pan dla zarobku takie zmyślane rzeczy...

Poeta wzruszył się podobno, nachylił ku sobie szpakowatego kelnera, pocałował go w oba policzki i pojednawczo szepnął:



HERMENEGILDA
KOCIUBIŃSKA



OSIOŁEK PORFIRION

– Zrozum, że kelner, to człowiek nie istniejący. To tylko duch w przebraniu... Jak dorożkarz... Nie gniewaj się, ale co ja poradzę...

Był przywiązany do swojego teatru, do każdej postaci z dokładnie wymyślonym życiorysem (wszyscy urodzili się w tym samym 1890 roku, ale w różnych miejscach:

Gzégzółka w Bołtupajewie nad Sitwą, Hermenegilda w Smyrnie, profesor Bączyński w Dukwi, Piekielny Piotruś w Warszawie i tylko Pies Fafik i Porfirion Osiołek zdążyli zapomnieć o miejscu swego urodzenia); bawił się wymyślaniem sytuacji wziętych przecież z życia, z polskiej mentalności, polskiego sposobu myślenia. Tak właśnie zachęcał nas do śmiania się z własnych błędów, wad, mało doskonałych charakterów. Uczył poczucia humoru, mimo że czas temu nie sprzyjał.

Gromy spadały na autora ze wszystkich stron. Jan Kott grzmiał o cotygodniowym zmuszaniu czytelników do czytania „produktu przejrzałej arystokratycznej kultury”; Stefan Kisielewski wtórował „o bełkocie pisanych dla pieniędzy *Zielonych Gęsi*”.

Głos „w obronie” Najmniejszego Teatru Świata zabrał jak zwykle mądrze Kazimierz Wyka. I oczywiście Bracia Rojek w *Przekroju*: „Od trzech lat każda z cotygodniowych premier *Zielonej Gęsi* podobna jest do słynnej paryskiej premiery *Hernaniego* Wiktora Hugo – sprzed przeszło wieku. To znaczy, że część publiczności przyjmuje spektakl gwizdem zgorszenia i oburzenia, a część entuzjastycznym aplauzem. Potem następują silne kontrowersje między obu stronami (na *Hernanim* było to połączone z biciem laskami po głowach), i zanim skandal ucichnie, *Zielona Gęś* szykuje nową premierę, po której wybucha nowy skandal, który w nasze życie literackie wnosi wiele ożywienia, co samo już jest wielką zasługą najmniejszego teatru...”

Na „szcztocie” kolumny z owym tekstem Marian Eile napisał jeden ze swych uroczych liścików: „Kochany! B. przepraszam za forszę.(...) Wiesz, że to nie nasza wina. *Gęsi* poprzedniej nie chciało puścić B. Kontrolni Prasy, że „kpiny” na oświatę dla dorosłych. Ze łzami przerobiliśmy. Mam nadzieję, że ten artykuł poprawi Ci humor. Mocno Was wszystkich całuję. Ja, Janka i *Przekrój*”.

Bronił się także i sam autor, usiłując zamienić w żart żądania „anonimowych” czytelników: „Zwracamy się z prośbą i żądaniem – pisał w imieniu ZMP w swojej fabryce K. Błędowski – aby Konstanty Gałczyński pisał tylko dla mas pracujących, w szeregach których kroczy postępową młodzież polska”.

Poeta odpowiadał w liście, który jednak nigdy nie doczekał się druku: „Słowo na temat nieporozumienia w związku z tzw. humorem czystego nonsensu. Otóż na jednym z meczów piłki nożnej zastanawiałem się głęboko, czemu robotnicza publiczność woła pod adresem sędziego: *Sędzia kalosz! Sędzia, kanarki doić!*

Przecież, na zdrowy rozum, sędzia nie jest kaloszem. Ale taki kalosz jeszcze można, powiedzmy, strawić. Ale gdy się słyszy z trybun ryki, żeby kalosz doił kanarki, to już, przepraszam, jest to czysty nadrealizm, absurd i nonsens, bo nie tylko kalosz, ale zegarmistrz, gdyby nawet zastosował śrubkę, nie wydoi kanarka. Naukowo niemożliwe. Gdzie wymiona u tego malutkiego ptaszka? Gdzie tu logika?

Więc pytam, czy sytuacja, w której kalosz doi kanarki, to nie jest przypadkiem *Zielona Gęś*?

Ale, kolego Błędowski z fabryki ERA i Kolego „Jaś” ze *Sztandaru Młodych*, co ja jestem temu winien?! K.I.Gałczyński”.

Tego rodzaju żarty nie mogły pomóc. W tamtej epoce także i śmiech bywał podejrzany. Losy Najmniejszego Teatru Świata były przesądzone: przestał istnieć w połowie roku 1950. Z ostatniej strony *Przekroju* na zawsze zniknęły reprezentantka balkonizmu, Hermenegilda Kociubińska i ceniony angelolog, Profesor Bączyński, Piekielny Piotruś i Alojzy Gzégzółka – fenomen nonsensu, Pies Fafik i Porfirion Osiołek... *Zielone Gęsi* – jak mawiał poeta – zmuszono do odlotu...

Wierzył jednak w ich powrót. W sztambuchu Janowej Wegnerowej z Nieborowa napisał przecież:

*Dwie prawdy jak mur stoją od czasu Nerona:
Lampa jest elektryczna, a gęś jest zielona ...*

A w pewnym liście z marca 1949 do Mariana Eilego, znalazł się i taki sympatyczny żart:

„Drogi Marianie,

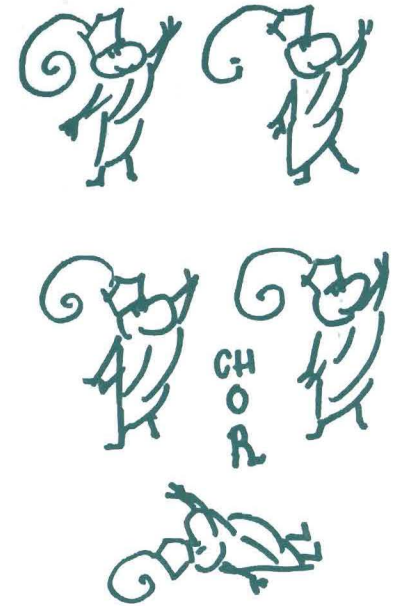
Jeden facet spytał mnie:

– Co będzie z *Zieloną Gęsią*, jak pan umrze?

Odpowiedziałem:

– Na łożu śmierci przekażę ją córce, żeby ją kontynuowała i ulepszała...”

Ten żartobliwy pomysł jest także z rodu zielonogęsiowych....





ma zaszczyt przedstawić z oburzeniem

„HAMLETA”

Spektakl, niestety, nie dopuszczony do konkursu szekspirowskiego, a to dzięki ponurym machinacjom intrygantów, karierowiczów oraz kombinatorów.

Prof. Bączyński

Narodzie polski, oto jakie wiekopomne wysiłki teatrologiczne idą na marne z powodów jak wyżej!
(rozdziiera szaty, ale ceruje je natychmiast)

Hamlet

Być albo nie być – oto jest pytanie,
Które powtarzam od lat trzystu w kółko.
Lecz, cyt! Poloniusz schodzi na śniadanie,
Nie, to Gzegzółka. Jak się masz, Gzegzółko?

Gzegzółka

Niedobrze mam się, bo w życiu trza przebyć
Przez las problemów, a któż je rozwiąże?
Więc gdy dylemat stoi: być czy nie być,
Może spróbujemy nie być, mości książe!

Obaj, tj. Gzegzółka i Hamlet

(na próbę przestają być)

K u r t y n a

sprytnie wykorzystuje sytuację
i skwapliwie zapada

K. I. Gałczyński

Jerzy Waldorff

A teatr miał się nazywać „Zielona Gęś”

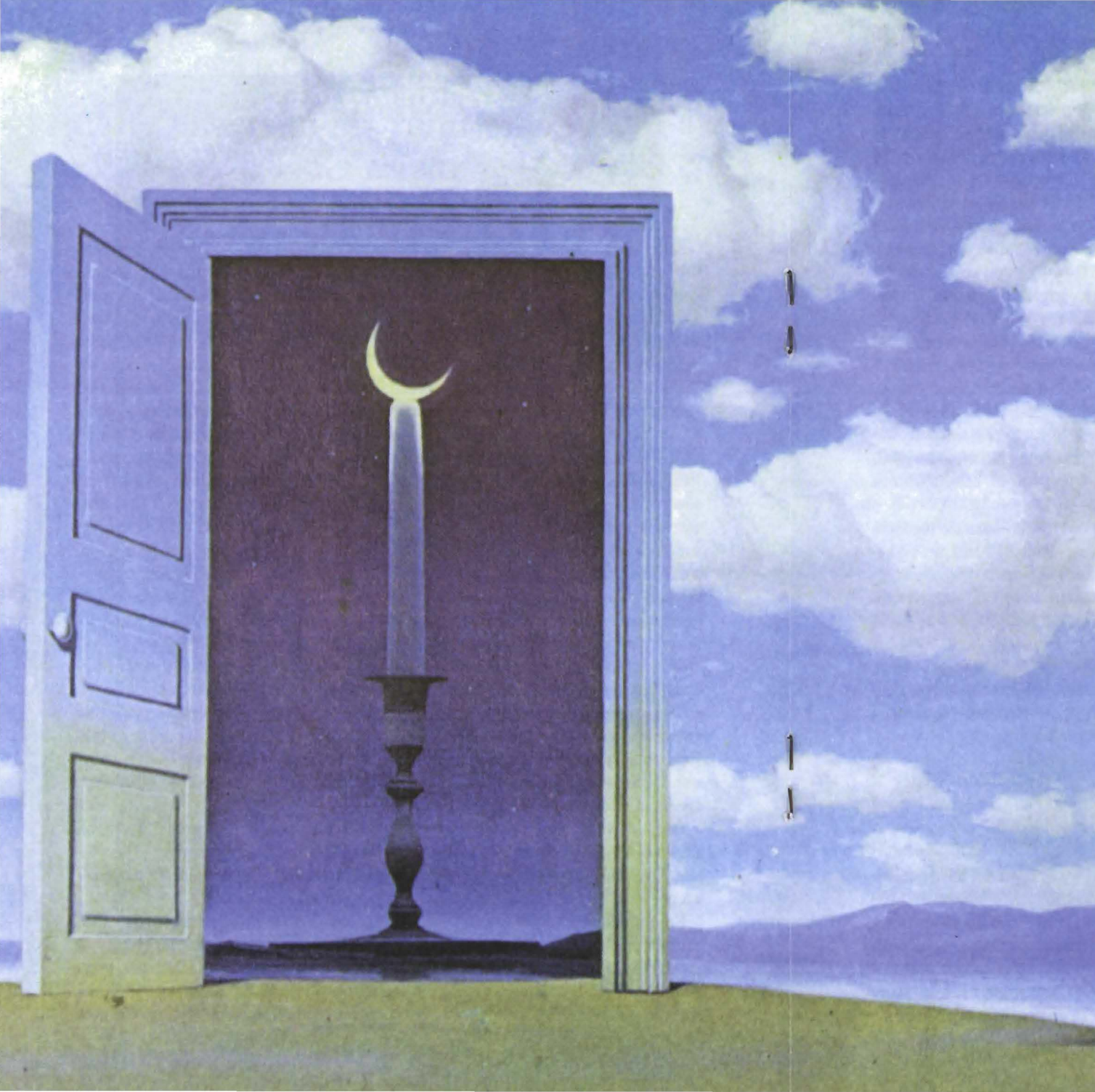
(tytuł od redakcji)

Zacząło się (...) od prostej sprawy pieniędzy, bo trudno było liczyć, że młode państwo z tyloma kłopotami na głowie zechce inwestować kapitały w satyrę, piosenkę i tym podobne dyrdymały. Chyba, że gotowi byłibyśmy z góry zaprzedać się jego propagandzie, na co nie mieliśmy zbytnej chęci. Ostatecznie imprezę oparto na udziałach czwórki prywatnych finansistów. Mnie dostarczyła pieniędzy niewyczerpane pobłażliwa matka moja, sprzedając jedyny ocalały z wojny pierścionek ze sporym brylantem. Jakies swoje oszczędności dodali w równym wymiarze Eile i Kamyczek, a na czwartego przystąpił do spółki Roman Szydłowski – dziennikarz, co podówczas pełnił funkcję... naczelnika cenzury na Kraków. W zdobyciu lokalu, a było to niezmiernie trudne, pomógł chyba ojciec Mariana, pułkownik Eile, militarnymi koneksjami, dzięki czemu wynając mogliśmy salę teatralną z kulisami, w budynku kasyna oficerskiego, przy ulicy Zyblikiewicza 1, punkt świetny, tuż przy Plantach. (...) Z zewnątrz nic szczególnego, wojskowy standard w czerwonej cegle, aliści wewnątrz przyjemnie! Dostyc paradne schody rozwidłone ku górze, garderoby wygodne, sala ładna, parter na trzysta-czteryście może krzeseł, nad czym z boku mały balkonik, zarezerwowany wyłącznie dla redakcji *Przekroju* i naszych gości. Krystyna Zelwerowicz (...) była reżyserem i zarazem bardzo surowym administratorem budynku, więc na parter sali nas nie wpuszczała, rezerwując wszystkie bilety do sprzedaży!

Pierwszy program z zapalem i tremą przygotowywaliśmy w Śledziejowicach, ślicznym starym dworze, jaki udało nam się wynająć od jeszcze nie usuniętych właścicieli na coś, co później zwano by „domem pracy twórczej i wypoczynku *Przekroju*”. Eile gnębił nas jeszcze bardziej niż w redakcji, niezadowolony, odrzucający tekst za tekstem z nadsyłanych przez autorów, którzy zwęszyli byli szybko nowe źródło zdobywania pieniędzy i chwały. Zresztą brakowało wszystkiego! Poczynając od nazwy: jakże ten nasz kabaret, u diabła, ochrzcić?!

Za namową Konstantego, czy może Natalii Gałczyńskich zdecydowaliśmy się na „Zieloną Gęś”. Kto ma być czołową *vedetą* sceny, żeby nazwisko dziewicze było, a talent ogromny, wszystko razem dopiero na deskach „Gęsi” narodowi przez nas objawione?

Na tym etapie namysłów przypomniałem sobie aktorkę, która przed wojną ledwo zdążyła debiutować, i to na prowincji, a po wojnie dopiero od niedawna słychać ją było przez mikrofony Polskiego Radia z Warszawy, w którego studiach razem przygotowywaliśmy różne audycje, zanim się nie wyniosłem do Krakowa. Ta Irena Kwiatkowska, po którą pchnęliśmy specjalnego wysłannika samolotem, przyfrunęła



Fragment obrazu „Zaczarowane królestwo” René Magritte’a (1898 – 1967), malarza belgijskiego, wybitnego przedstawiciela surrealizmu europejskiego.



Irena Kwiatkowska (fot. z archiwum aktorki).

natychmiast, odważnie zdecydowana. Z partnerem dla niej takim, żeby atrakcyjny był od razu i stanowił dla Ireny tło korzystne rozkwitu, na wzór południowego muru dla rozpiętej na nim brzoskwini – udało się jeszcze łatwiej. Były to czasy powrotów z emigracji wielu artystów, co mimo wszystko niepewne gotowi byli ryzykować życie w ulubionej ojczyźnie, a wśród koryfeuszy lekkiej muzy zjechał był Tadeusz Olsza, przed wojną sławny amant rewii „Morskie Oko” w Warszawie. (...) Wezwany telegraficznie przez Eilego, zjawił się również w Krakowie bez zwłoki, gdy my tymczasem pracowaliśmy w pocie czoła, każdy nad wyznaczonym fragmentem całości, która miała stać się teatrem.

Na mnie wypadło – sam się tego lekomyślnie podjąłem! – skomponowanie szlagieru, który do wspólnie ułożonego tekstu stałby się muzycznym

przebojem, marszem fokstrotem na finał programu, żeby ludzie opuszczali naszą „Gęś” rozwibrowani rytmem, podśpiewując narzuconą im przeze mnie melodię. Niechaj mi Pan Zastępów wybaczy! Przypomniałem sobie wszystkie dawne przeboje finalne z „Casino de Paris”, „Folies Bergère” i naszych rewii krajowych, pozbierałem wspomnienia w jedną całość, siadłem do śledziejowskiego fortepianu i z odwagą skazańca pierwszy, a także ostatni raz w życiu, runąłem w kompozycję!

„Zielona Gęś” to teatr jest wspaniały,
„Zielona Gęś” dziś dla Krakowa gra.
„Zielona Gęś” najlepsze ma kawały:
„Zielona Gęś, Zielona Gęś, Zielona Gęś” – ha! ha!

To było arcydzieło, lecz ono jedno nie załatwiało sprawy muzyki dla naszej sceny. Funkcję *maestry di musica*, za radą wielu w tym doświadczonych, oddaliśmy w ręce Andy Kitschmann, osoby groźnej i władczej (...). W naszej „Gęsi” zabrała się do pracy z furją, co oznaczało piekielne awantury o byle co, zmykanie przed nią w popłochu wszystkich z wyjątkiem Mariana, który potrafił być jeszcze straszniejszy, u nieznośnej zaś pani Kitschmann cenil nie bez racji kompetencję muzyczną i talent, który zaczął przejawiać się w ślicznej często muzyce, zwłaszcza do poezji Gałczyńskiego.

Przed każdą premierą rozgrywały się te same sceny: pani Anda z krzykiem domagała się nowej toalety, Marian bronił się bezskutecznie, więc na koniec siadała do pierwszego z dwóch akompaniujących spektaklom fortepianów spowita w złote lamy, szale tiulowe, z diademem i piórami we włosach, ale już nazajutrz po premierze jawiła się na przedstawienie w ciągle tej samej, sfatygowanej czarnej kiecce, a jeśli – nie daj Boże! – ktoś na widowni gadał, przerywała grę, patrzyła okropnym wzrokiem spoza okularów na salę i pytała: „Może ja państwu przeszkadzam?” – na co wszyscy milkli przerażeni i było do końca wieczoru jak makiem zasiał. Nawet wybuchy śmiechu, po najlepszych dowcipach ze sceny, zrywały się raczej ostrożne, w każdym razie pełne szacunku.

Im bliżej otwarcia naszej sceny i przedstawienia pierwszym widzom pierwszego programu, zatytułowanego *Trzy razy miau*, co było jednak podlizaniem się władzom, w związku z ogłaszanym referendum zaufania narodu dla rządu; im bardziej stawało się jasne, że nie unikniemy prapremiery – tym ciężiej chodziliśmy zdenerwowani i stremowani. Dlaczego *Trzy razy miau*? No, bo Marian w ostatniej chwili przestraszył się konserwatywnej opinii Krakowa – społeczności, która nic a nic z awangardowej podówczas poezji Gałczyńskiego nie rozumiała – więc zmienił nazwę teatryku z „Zielonej Gęsi” na „Siedem Kotów”.

W pierwszym programie na scenie występował osobiście Gałczyński, recytując w battle-dresie, w którym wrócił z niewoli, swoje wiersze: *Na dłonie Krystyny i Dwa paszkwile na Hermenegildę Kociubińską*, a robił to wspaniale! Konferansjerem zaś byłem ja, a robiłem to okropnie!... Dopiero później nabyłem pewności siebie w obcowaniu z audytorium, a nigdy nie miałem w sobie bystrej gotowości replikowania na zaczepki z widowni, w czym tak celował przed wojną Fryderyk Járosy. Męczyłem się więc ogromnie, do „Kotów” wieczorami maszerowałem jak na ścięcie i prosiłem Boga, żeby się to rychło skończyło, co się i stało niebawem.

Jedna Irena Kwiatkowska umiała już pierwszą swoją piosenką do tekstu Ildefonsa *Sierotka* podbić Kraków. Budowała postaci za pomocą słów tekstu, z których bywała niezadowolona. Chociaż wiedziała, że w Gałczyńskim ma do czynienia z wielkim poetą, którego twórczość należy szanować – korzystała ze swej kobiecej bezkarności, żeby od Konstantego ciągle domagać się zmian w przyniesionym przez niego rękopisie, a on – w pracy równie rzetelny, a przeto skromny – godził się na wszystkie jej wymagania, chociażby miały cechy kaprysów. Kreślił, pisał zdania całe od nowa, jeszcze raz kreślił i radził się aktorki tak długo; póki – z ich wspólnej męki nie narodziło się nowe miniarcydzieło piosenki lub monologu. Zostali mi tacy w pamięci: wzory odpowiedzialności u twórców za powstające i przekazywane ludziom s ł o w o.

Jerzy Waldorff, *Moje lampki oliwne*.
„Iskry”, Warszawa 1999 (fragmenty).

DYREKTOR

(najprzód westchnienie, a potem forte):

To już tak bez przerwy od roku
ludzie uciekają w poplochu,
a niejeden zaciska pięść;

gdziekolwiek wejde, to samo.

Dziecko do matki: Mamo,
uciekajmy, Zielona Gęś!

Nerw przy nerwie się trzęsie
od tych Zielonych Gęsi,
spróbujecie żyć jak ja!

W pociągu i samolocie,
wszędzie jestem stopociech,
a serce lka i lka. (...)

Na ścianę, w nocy natchnionej,
rzucam cień Gęsi Zielonej –
nigdy nie miałem takich nóg!

A gdy zorza nadejdzie błada,
to sztuczne zęby wkładam
nie w usta, ale w dziób.

Gdy śmierć mnie weźmie w obroty
i powie: – Teraz, mój złoty,
rzeź, kochaneczku, rzeź –

już w raju, w kwestii, kto taki?
Odpowiem: – Siup! Dział: „Ptaki”.
Jestem Zielona Gęś.

K. I. Gałczyński

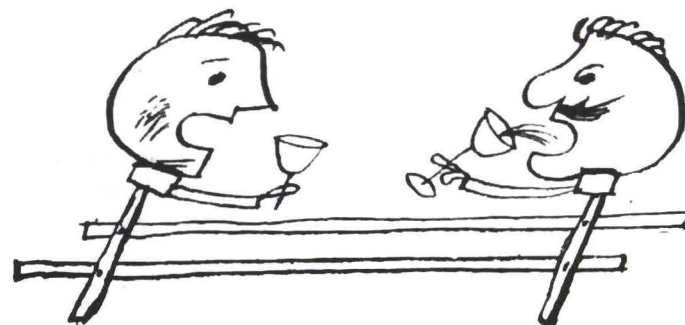


Ludwik Jerzy Kern

Konstanty Ildefons Gałczyński

W *Dwóch teatrach* Jerzego Szaniawskiego występuje Chłopiec z deszczu. Piękna, poetycka postać, która zjawia się nie wiadomo skąd. Otóż, dla mnie takim Chłopcem z deszczu, tyle że dorosłym, był Konstanty. Zawsze zjawiał się niespodziewanie i sprawiał wrażenie, jakby przyszedł z innego świata. I chyba istotnie tak było. Robił krok ze swojego poetyckiego świata w rzeczywistość, a potem, kiedy ta rzeczywistość go znudziła (a nudziła go bardzo szybko), znikał nie wiadomo gdzie, zupełnie jak ten Chłopiec z deszczu. Wszystko, za czym tak gonimy, te jakieś dobra doczesne, przyjemności i rozrywki, zupełnie go nie interesowało. On żył w specyficznym świecie swojej poezji. Życie miał właściwie bardzo ciężkie. Do wojny, prawdę mówiąc, cierpiał niedostatek. Wojnę przesiedział w stalagu. Po wojnie pokręcił się trochę na Zachodzie i wrócił. Poznał się na nim natychmiast Eile. Naprawił błąd Grydzewskiego (który nie dopuścił Gałczyńskiego do *Wiadomości Literackich*) i zrobił z niego nadwornego poetę *Przekroju*. Ten krakowski okres był chyba najpłodniejszym, a kto wie, czy nie najszczęśliwszym w jego życiu. Potem tylko Mazury i Leśniczówka Pranie wywołały taką euforię szczęścia, ale wtedy był już ciężko chory. Uplynęło zaledwie 7 lat od jego powrotu, kiedy w mieszkaniu w Alei Róż dopadł go trzeci zawał. Akurat 6 grudnia, w świętego Mikołaja. Dzwoniono po karetkę m.in. do kliniki rządowej. Tam jakaś panią pytała o nazwisko. „Gałczyński, Gałczyński, chwileczkę. Nie, Gałczyńskiego nie ma na liście. Gałczyńskiemu nie przysługuje ...”.

Pamiętam go jako człowieka niezwykle życzliwego ludziom. Miał niski, ciepły, o aksamitnej fakturze głos. Przepięknie deklamował swoje wiersze. Żaden aktor nie umiał go w tym przeskoczyć. (...)



Zabawne, że to właśnie on wprowadził mnie do łódzkiej Szkoły Teatralnej, a potem mnie z niej wyciągnął. Wprowadził, ponieważ na egzaminie mówiłem obszerne fragmenty *Kolczyków Izoldy* świeżo napisanego przez niego poematu, którego egzaminatorzy jeszcze nie znali. To zrobiło wrażenie. Zostałem przyjęty. Wielki Józef Węgrzyn wybiegł nawet za mną na korytarz i ściskając mi ręce, powiedział tym swoim, podobno najpiękniejszym w Polsce męskim głosem: „Panie, to było piękne”. A potem, po niecałym roku Konstancy mnie z tej szkoły, można powiedzieć przeflancował do *Przekroju*. Wpisał mi wówczas dedykację na egzemplarzu swojej *Zaczarowanej drożki*. To było 6 kwietnia 1948 roku. W tym dniu raz na zawsze pożegnałem się z marzeniami o moich sukcesach scenicznych.

Moje Abecadłowo (fragmenty), „Przekrój” nr 2841 z 5.XII.1999.



Ludwik Jerzy Kern

O Zielonej Gęsi

Człowiek ogromnie lubi protestować. Zwłaszcza jeśli spotyka się z czymś nowym, co jest zupełnie inne od tego z czym się dotychczas spotkał. Wygwizdano i bez mała opluto kilkanaście obrazów, za które dzisiaj płaci się miliony dolarów. Upodlono parę operowych arcydzieł, na które dzisiaj walą tłumy. Podobnie traktowano „Zieloną Gęś”, zwłaszcza w jej początkach. Dzisiaj nikt się do tego, naturalnie, nie przyzna, ale ja to pamiętam. Pamiętam te pełne oburzenia listy, jakie przychodziły do *Przekroju*. „Jak śmiecie!” „Jak możecie!” „Wstydu nie macie!” „Do wariatów z takim pisaniem!”

Na szczęście wielki Eile nie był z tych redaktorów, co to wypytyują się czytelników w ankietach o czym chcieliby w piśmie poczytać. To ON wiedział, co czytelnicy powinni czytać i dlatego z upodobaniem i prawdziwą radością drukował „Zielone Gęsi” bez względu na protesty. „Mogę cię zapewnić – powiedział mi kiedyś – że gdyby nie było „Zielonej Gęsi”, to nie byłoby pewnie paru polskich pisarzy...” Wymienił nawet nazwiska, ale ich nie powtórzę, bo niby po co?

maj 2000

Teatrzyk Zielona Gęś – Najmniejszy Teatr Świata

ma zaszczyt przedstawić swój zespół,
przed Państwem

z największą treścią występują następujący artyści:

ALOJZY GZEGŻÓŁKA

Ur. 1890 w Bołtupajewie nad Sitwą... W dzieciństwie byłem marzyciel... rodzice nazywali mnie „fenomen nonsensu”, co i zostało... Raz chciałem zagrać Hamleta... Niestety intrygi dyrektorowej... Sportem nie interesuję się.

PROF. BĄCZYŃSKI

Ur. w Dukwi w r. 1890. Artysta – angelolog... W dzieciństwie chorowałem na świnkę, czyli mumps, później na choroby inne... (Zawsze walczyłem o Prawdę, Piękno i Dobro, uwzględniając etykę i estetykę...) Z polskich pisarzy dramatycznych ja najbardziej cenię: Antoniego Mikołasza, Jadwigę Szadurską i Fafarę. Nie piję.

HERMENEGILDA KOCIUBIŃSKA

Ur. w 1890 w Smyrnie (Azja Mniejsza). Panna absolutna. Przedstawicielka polskiego „doloryzmu”. Improvizatorka... Lubię grać... Wydałam: „Echa jesienne”, „Na przekór i wstążeczka”, „Twierdzenie Pitagorasa”, „Chłopcy maszerują”, „Ptaszki spod paszki”, „Posążek Buddy”, „Profil robotnika”, „Sianokosy figlarne”, dramat wierszem „Leszek Biały”, „Plan miasta stołecznego Warszawy” oraz „Zbiór najnowszych piosenek”. Chciałabym, żeby wszyscy się kochali, żeby nigdzie nie było żadnych intryg, żeby te rzeczy były ustalone, a Człowiek najwyższą wartością Ludzkości.

OSIOŁEK PORFIRION i PIES FAFIK

Oboje ur. 1890. Miejsca urodzenia sobie nie przypominają. Zwierzęta – ekscentrycy. Kierownicy Sekcji Dramatycznej Klubu Zwierząt i założyciele Poczty Zwierzęcej. Ulubiony sport: ping-pong.

FAFIK

Wielce to sobie, mili cenię,
że rozpoczynam przedstawienie,
bo to i zaszczyt być w prologu,
no i Publiczność, swoją drogą,
też cieszy się, z radości fika,
gdy widzi znowu psa Fafika.



PIES FAFIK

PIEKIELNY PIOTRUŚ

Ur. 1890. Warszawa. dziecko ulicy i ozdoba salonu. Self-made man. Wynalazca perkolatora. Wizjoner. Mistrz najmniejszej formy poetyckiej i aforysta. Przykład: „Kobieta jest jak patelnia, ponieważ kobietę, jak również patelnię można wziąć za rączkę”.

DYREKTOR NACZELNY
JERZY ZALESKI

DYREKTOR ARTYSTYCZNY
JAROSŁAW KILIAN

ZASTĘPCA DYREKTORA
BOGDAN POTOCKI



W programie wykorzystano:

fotografię K. I. Gałczyńskiego autorstwa H. Hermanowicza (z archiwum Kiry Gałczyńskiej);
w kolorze zielonym – rysunki Sławomira Mrożka z: K. I. Gałczyński *Die Grüne Gans*, Frankfurt n. Menem, 1969;
w kolorze czarnym – rysunki Henryka Tomaszewskiego z: K. I. Gałczyński *Satyra, groteska, żart liryczny*,
Warszawa 1955; rysunek kurtynki – winiетки autorstwa J. Kamyczka (Janiny Ipohorskiej) z *Przekroju*.

Redakcja programu
ANNA MIESZKOWSKA
JOLANTA ŻUKOWSKA

Opracowanie graficzne
EWA LIBERA

Opracowanie techniczne
MARIA GAWROŃSKA

WYDAWNICTWO TEATRU POLSKIEGO W WARSZAWIE
Sezon 1999/2000

Druk: Zakład Poligraficzny „BiS”, Warszawa ul. Smulikowskiego 6/8

SPONSORZY TEATRU



VINPOL
TORUŃSKIE PIWNICE WIN



OCHRONA PRZECIWPÓŻAROWA



PROGRAMY KOMPUTEROWE



LIGHTING & TECHNOLOGY TRADING LTD.



AMBRA S.A.
HURTOWNIA WIN IMPORTOWANYCH



SPRZĘT OŚWIETLENIOWY
ADB
A SIEMENS COMPANY



USŁUGI INSTALACYJNO-BUDOWLANE

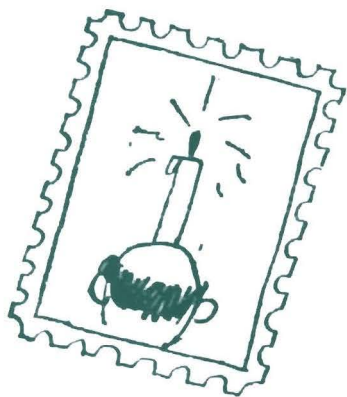


OPROGRAMOWANIE
FINANSOWO-KSIĘGOWE



CONSULTING PROGRAMÓW
KOMPUTEROWYCH

TELEFONICZNA REZERWACJA BILETÓW – tel./fax 826 61 64



(...)

A po pogrzebie pod korniszon
niech epitaphium mi napiszą:
TU LEŻY MAGIK I MAŁPISZON,
pod spodem taki tekst:

„Liryka, liryka,
tkliwa dynamika,
angelologia
i dal”.

K. I. Gałczyński



ZAŁOŻONY PRZEZ ARNOLDA SZYFMANA
1913
SCENA KAMERALNA

Konstanty Ildefons Gałczyński
ZIELONA GĘŚ

Scenariusz – JAROSŁAW KILIAN

Osoby:

Hermenegilda Kociubińska IRENA KWIATKOWSKA
Zielona Gęś EWA GOŁĘBIEWSKA
Panna Ptysia AGNIESZKA SZTUK
Piekielny Piotruś BOGDAN BAER
Alojzy Gzęgźółka JACEK KAWALEC
Pies Fafik KRZYSZTOF KOŁBASIUK
Profesor Bączyński KRZYSZTOF KUMOR
Szapurski Zbyszko MICHAŁ LESIEŃ
Osiołek Porfirion RYSZARD NAWROCKI

przy fortepianie PAWEŁ ROZBICKI
skrzypce JACEK JODŁOWSKI

Reżyseria i scenografia
JAROSŁAW KILIAN

Muzyka
GRZEGORZ TURNAU

Asystent reżysera
RYSZARD NAWROCKI

W scenografii wykorzystano malarstwo René Magritte'a.
Muzyka do *Sierotki* kompozycji Andy Kitchmann.
Wykorzystano także fragmenty utworów klasycznych, popularnych i ludowych.

Sezon 1999/2000

Premiera 27 maja 2000 roku